

Przyszedliśmy tu chwalić pana Jezusa Chrysta!

Śpiew zbliżał się do chałupy. To kolędnicy powoli i mozolnie brnęli w kopnym śniegu, a pieśń niesła się daleko w czystym i mroźnym powietrzu. Zatrzymali się przy wejściu na podwórzu dla zwarcia szyków i nagle huknęło:

*Dobry wieczór Tobie,
panie gospodarzu Raduj się!
Oj raduj się ziemio
Syn Boży narodził się!*

Kolędnicy podchodzili do drzwi lub do oświetlonego okna. Wypatrywali, czy zaczyna się jakiś ruch w chałupie. Mogło być od początku wszędzie ciemno, albo światło w kuchni nagle zgasło, co też miało znaczyć, że nikogo nie ma w domu. W takim razie kolędnicy, odśpiewawszy swoją pieśń do końca, wędrowali dalej.

Najczęściej jednak już po chwili na podwórzu zapalała się lampka, a

townie zaczynała krzątać się po izbie, wystawiać ciasta i kielbasy domowej roboty, a gospodarz już przepijał do jednego z nas domowej roboty wódką. Po jedzeniu zaczynało się obtańcowywanie gospodyni i córek. Rozmowy, pytania kim i skąd jesteście.

Nie byliśmy bowiem typowymi kolędnikami – chłopakami z okolicy. Ta tradycja, choć dobrze wszystkim znana, powoli zanika. Częściej mamy dziś okazję zobaczyć kolędników w programie folklorystycznym w telewizji, bądź, co gorsza, w reklamie. Do naszych drzwi, mogą też w okresie Bożego Narodzenia zapukać dziesięcioletnie wyrostki, by zaśpiewać zaledwie dwie zwrotki kolędy, zainkasować parę drobnych i szybko zadzwonić do następnego mieszkania.

Dlatego właśnie w działającym od ponad dziesięć lat w podolsztyn-

dowania wielkanocnego. Wyprawom tym przewodzi kierownik artystyczny węgajckiego teatru **Wacław Sobaszek**, a uczestniczą w nich, oprócz aktorów teatru, chętni z całej Polski, często także spoza jej granic.

Brałem udział w kilku takich wyprawach – najbardziej jednak zapadło mi w pamięć kolędowanie we wsi Bartne w Beskidzie Niskim, w roku 1993.

Zjechaliśmy tam przed południem 6 stycznia – data absolutnie nieprzypadkowa. Bartne to wieś łemkowska, a więc obecnie w większości prawosławna. Kiedyś była grecko-katolicka. 7 i 8 stycznia, czyli w dni Bożego Narodzenia w Kościele prawosławnym chodzili, według miejscowej tradycji, kolędnicy.

Pierwszy wieczór upłynął nam na przygotowaniach – głównie zwie-

zieniu prowiantu. Wprawdzie kolacje, i to w nadmiarze, mieliśmy zapewnione w trakcie wędrowania, musieliśmy jednak wcześniej zatroszczyć się o pozostałe posiłki dla prawie dwudziestu osób. Mieszkaliśmy w górskim schronisku, skąd samochód mógł dotrzeć jedynie do dolnej części wsi, do umówionego gospodarstwa. Dalej trzeba było wszystko nieść w plecakach. Schodziłem po kolejny transport. Samochód miał dojechać za

około godzinę. Zapukałem do domu, żeby tam tę godzinę przeczekać... I nagle uświadomiłem sobie, że przecież dla gospodarzy tego domu nie był to, tak, jak dla mnie, zwykły dzień, lecz wieczór wigilijny. Ten jeden jedyny raz spożywałem Wilię z owego dodatkowego talerza, który stawia się w polskich domach dla przypadkowego wędrowca. Z tego miejsca uroczystość chwili czuje się w trójnasób.



Fot. Franciszek Strzeszewski

Aktorzy Teatru Wiejskiego Węgajty

na progu drzwi wejściowych stawał gospodarz. Milcząc zapraszał do środka – każde słowo i tak zaginęłoby pośród śpiewu i huku instrumentów, które z szerokich, śnieżnych przestrzeni wpadały nagle do niskiej i gorącej kuchni. Kolęda płynęła za kolędą, gospodarze słuchali w skupieniu, aż wreszcie w chwili ciszy, kiedy krótko spoglądając na siebie ustalaliśmy, kto zaintonuje następną pieśń, gospodyni gwał-

skiej wsi Węgajty *Teatrze Wiejskim Węgajty* zrodził się pomysł wypraw kolędniczych. Aktorzy rokrocznie kolędują gdzieś w Beskidzie Niskim, na Suwalszczyźnie czy w woj. olsztyńskim. Nie tylko w czasie Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Organizują takie wyprawy także na Wielkanoc – do kilku, wyjątkowych w skali całej Polski, wsi w Suwalskiem, w których istniał zwyczaj Alilujki, czyli gdzie indziej nieznanego kolę-

Pierwszą noc spędziliśmy w cerkwi na pasterce. Był to trochę większy wysiłek niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni w Kościele katolickim. Nabożeństwo zaczyna się o drugiej w nocy, śpiewy i modlitwy trwają do białego dnia. Ławek jest bardzo mało, więc większość wiernych stoi po parę godzin prawie bez ruchu.

Wędrowkę od domu do domu zaczęliśmy 7 stycznia, czyli w pierwsze święto o zmierzchu. Szliśmy w dwóch grupach – jedna z góry wsi, druga z dołu. Było nas zbyt wielu, byśmy próbowali wszyscy razem wchodzić do jednej kuchni, poza tym gościnność mieszkańców była tak wielka, że inaczej nie zdołalibyśmy odwiedzić blisko czterdziestu chałup przez dwa dni – a przecież nie chcieliśmy nikogo opuścić.

Mimo że nie wszyscy kołędni-

ków przyjmowali, posuwaliśmy się bardzo wolno. W wielu domach przyjmowały nas całe rodziny, a wtedy nie było łatwo odmówić prośbom o kolejne kolędy i kolejne tańce. Ale zdarzało się też, że przyjmował nas, z kamienną twarzą, samotny gospodarz lub gospodyni. Po trzech, pięciu kolędach następowała długa cisza i kiedy już prawie zbieraliśmy się do wyjścia padało nagle nie tyle pytanie, ile smutne stwierdzenie – *To co? Już więcej nic nie znacie*. Wtedy byliśmy już pewni, że jesteśmy w tym domu pożądanymi gośćmi. Pieśni płynęły jedna za drugą, a gospodarz słuchał ich w wielkim skupieniu ponownie zapadając w swoją samotność:

*Syn Boży się nam narodził
By nas grzesznych wyswobodzić.
Witaj Synu Boży witaj!
Witaj Synu Boży witaj!*

Trudniej było wyjść z takiego domu.

Ostatnią chałupę pierwszego dnia kolędowania naszliśmy o pierwszej w nocy. Pilnowali, abyśmy ich nie pominęli, jak to zdarzyło się rok wcześniej. Wprawdzie część domowników wyciągnęliśmy już spod pierzyny, ale ostatecznie wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi.

Później, w środku nocy obie grupy kołędników spotkały się koło domu, z którego jedni właśnie wyszli. Wróciliśmy tam wszy-

scy. Tańce skończyły się po piątej rano.

Na drugi dzień, kiedy wieść o naszym przybyciu na dobre rozeszła się po wsi, sporo ludzi czekało na nas w oknach lub wprost na drodze. Z wielką radością wchodziliśmy do takich domów i śpiewaliśmy:

*Jasne słońce to jest pan
gospodarz
Srebrny miesiąc to jest
gospodyni
Drobne gwiazdki - a to są ich
dzieci*

Kiedy tak staliśmy naprzeciw sobie, słowa te przestawały być tekstem-wszystkim znanej pieśni, były jak pierwsze i jedyne przyrównanie ludzi do słońca, księżyca i gwiazd. A potem na środek izby wyskakiwała nasza rozbrykana koza. Przyprawionymi rogami straszyla dzieci, nagle padała zastrzelona i po chwili

znów się zrywała. To był zazwyczaj kulminacyjny punkt najścia.

Zastanawiała nas tego dnia jedna rzecz – wszędzie spotykaliśmy ludzi w pełnym wieku, starszków, dzieci i dziewczęta. Nigdzie nie było młodych mężczyzn, kawalerów. Zdarzały się też domy, do których nas nie wpuszczano. Możliwe, że nikogo tam nie było. Przy jednym jednak zdecydowanie wyczuliśmy, że ktoś w środku jest. Kołędniczym zwyczajem chcieliśmy zrobić dowcip. Ktoś wpadł na pomysł, by spuścić sanie konne na biegnącą jakieś sto metrów niżej drogę. Mieliśmy tym razem pecha – wszyscy młodzi mężczyźni byli właśnie w tym domu!

Ostatni do obkoledowania był dom miejscowego popa. Skończyło się oczywiście na dyskusji o religii. Wypada życzyć każdemu tej otwartości i tolerancji, z jaką się tu spotkaliśmy.

Zapraszani do odwiedzin o każdej porze roku wyszliśmy w rozświetloną pełnią księżyca zimową noc:

*Ostawajcie z Bogiem, pani
gospodarzu
Raduj się! Oj raduj się ziemio
Syn Boży narodził się!*

Również i w tym roku *Węgajty* będą kolędować. Tym razem w innej wsi Beskidu Niskiego. Towarzyszyć im będą aktorzy bydgoskiego teatru *Studio Czyczkowy i niżej podpisany*.

Jerzy Welter